



© Anna Zemanek

Jacek Dukaj – Poland

LÓD (2007)

ICE

Publishing House **Wydawnictwo Literackie**

Biography

Jacek Dukaj (born in 1974) is one of Poland's most interesting contemporary prose writers, whose books are always eagerly anticipated events. Dukaj studied philosophy at Jagiellonian University. He successfully debuted at the age of 16 with a short story *Złota Galera* (Golden Galley). He is known for the complexity of his books, and it is often said that a single short story of Dukaj contains more ideas than many other writers put into their books in their lifetime. Popular themes in his works include the technological singularity, nanotechnology and virtual reality, and because of this his books often can be classified as hard science fiction.

Synopsis

The story takes place in an alternate universe where the First World War never occurred and Poland is still under Russian rule. Following the Tunguska event, the Ice, a mysterious form of matter, has covered parts of Siberia in Russia and started expanding outwards, reaching Warsaw. The appearance of Ice results in an extreme drop in temperature, putting the whole continent under constant winter, and is accompanied by *Lute*, angels of Frost – a peculiar form of being which appears to be a native inhabitant of Ice. Under the influence of the Ice, iron turns into *zimmazo* (cold iron), a material with extraordinary physical properties, which results in the creation of a new branch of industry, *zimmazo* mining and processing, giving birth to large fortunes and new industrial empires. Moreover, the Ice freezes History and Philosophy, preserving the old political regime, affecting human psychology and changing the laws of logic from the manyvalued logic of 'Summer' to the two-valued logic of 'Winter' with no intermediate steps between True and False.

LÓD

Jacek Dukaj

Rozdział Pierwszy

14 lipca 1924 roku, gdy przyszli po mnie czynownicy Ministerjum Zimy, wieczorem tego dnia, w wigilję syberjady, dopiero wtedy zacząłem podejrzewać, że nie istnieję.

Pod pierzyną, pod trzema kocami i starym płaszczem gabardynowym, w barchanowych kalesonach i swetrze włóczkowym, w skarpetach naciągniętych na skarpety – tylko stopy wystawały spod pierzyny i koców – po kilkunastu godzinach snu nareszcie rozmrożony, zwinięty prawie w kulę, z głową wciśniętą pod poduchę w grubej obszewce, że i dźwięki docierały już miękkie, ogrzane, oblane w wosku, jak mrówki ugrzęzłe w żywicy, tak one przedzierały się w głąb powoli i z wielkim mozołem, przez sen i przez poduszkę, milimetr za milimetrem, słowo za słowem:

- Gaspadin Wieniedikt Jerosławski.
- On.
- Spit?
- Spit, Iwan Iwanowicz.

Głos i głos, a pierwszy niski i ochryply, a drugi niski i śpiewny; zanim uniosłem koc i powiekę, już ich widziałem, jak się nade mną pochylają, ten ochryply od głowy, ten zaśpiewny od strony stóp, carscy aniołowie moi.

– Obudziliśmy panicza Wieniedikta – stwierdził Iwan, gdy podźwignąłem powiekę drugą. Skinął na Biernatową; gospodynini potulnie opuściła izbę.

Iwan przysunął sobie taburet i usiadł; kolana trzymał

razem, a na kolanach czarny melonik o wąskim rondzie. Wysoki vatermörder, biały jak śnieg w południowym słońcu, raził mnie w oczy, biały vatermörder i białe biurowe mankiety, oslepiające na tle jednolitej czerni ich ubiorów. Mrugałem.

– Pozwólcie, Wieniedikt Filipowicz.

Pozwolili sobie. Drugi przysiadł w nogach łóżka, swoim ciężarem pierzynę ściągając, aż musiałem ją puścić; złapawszy z kolei za koce, uniosłem się na barłogu, i tak oto odkryłem także plecy, powietrze zimne wcisnęło się pod sweter i kalesony, zadrzałem, rozbudzony.

Narzuciłem na ramiona płaszcz, kolana podsunąłem pod brodę. Spoglądali na mnie z rozbawieniem.

– Jak zdrowie?

Odchrząknąłem. W gardle zebrała się flegma nocna, żrący kwas na wszystkich treściach żołądka, z kiełbasy czosnkowej, korniszonów, czego tam jeszcze wczoraj zażywaliśmy, z ciepłej dereniówki i papierosów, mnóstwa papierosów. Wychyliłem się ku ścianie i charknąłem do kraszarki. Aż mnie zgięło. Zgięty, przez długą chwilę kaszlałem ciężko.

Otarłem usta rozdartym rękawem płaszcza.

– Końskie.

– A to dobrze, to dobrze, baliśmy się, że z łóżka nie wstaniecie. Wstałem. Pugilares leżał na parapecie, wciśnięty za doniczkę z martwą pelargonią.

Wyjąłem bumagę, pod nos Iwanowi podetknąłem.

Ani spojrział.

– Ależ gaspadin Jeroślawski! Czy my stójkowi jacy jesteśmy! – Wyprostował się na tym taburecie jeszcze bardziej, myślałem, że to niemożliwe, ale jeszcze się wyprostował, teraz to ściany krzywymi się zdawały, szafa garbatą, futryna

skoljotyczną; obrażony, unosił czynownik podbródek i pierś wypinał. -Bardzo grzecznie prosimy pana do nas na Miodową, na herbatkę i słodkości, komisarz zawsze sprowadza sobie sorbety, babeczki, rożki śmietankowe, prosto od Semadeniego, prawdziwa rozpusta podniebienia, jeśli mogę się tak wyrazić, co, Kirył?

- Możecie, Iwan Iwanowicz, jak najbardziej – zaśpiewał Kirył.

Iwan Iwanowicz miał sumiaste wąsy, wypomadowane mocno i ku górze podwinięte; Kirył natomiast cały był gładziutko wygolony. Iwan wyjął z kieszonki kamizelki cebulę na dewizce splątanej i oznajmił, że jest pięć do piątej, komisarz Preiss wielce sobie ceni punktualność, a o której wychodzi na kolację? Umówili się z generałem-majorem we Francuskim.

Kirył poczęstował Iwana tabaką, Iwan poczęstował Kiryła papirosem, przyglądali mi się, jak się ubieram. Chlusnąłem w miednicę wody lodowatej. Kafle pieca były zimne. Podkręciłem knot w lampie. Jedyne okno pokoju wychodziło na podwórko ciasne, szyby zaś tak brudem i szronem zarosły, że nawet w południe niewiele blasku słonecznego przez nie przecieka. Kiedy się goliłem – kiedy jeszcze się goliłem – musiałem być stawiać sobie przed lustrem lampę na pełny płomień odkręconą. Zyga rozstał się z brzytwą zaraz po przybyciu do Warszawy; wyhodował brodę godną popa. Zerknąłem na jego posłanie po drugiej stronie pieca. W poniedziałki ma wykłady, wstał pewnie o świcie. Na łóżku Zygmunta leżały czarne szuby czynowników, ich rękawice, laska i szal. Stół bowiem zastawiony był po brzegi brudnymi naczyniami, flaszkami (pustemi), książkami, czasopismami, zeszytami, Zyga suszył sobie skarpety i bieliznę, zwieszając je z krawędzi blatu, przyciśnięte atlasami anatomji i łacińskimi dykcjonarzami. A na środku stołu, na rozczytanym,

zatłuszczonym Über die Hypothesen welche der Geometrie zu Grunde liegen Riemanna i na stercie pożółkłych ‘Kuryerów Warszawskich’, trzymany na podpałkę, do klajstrowania szczelin mrozem rozpartych i odwilgacania butów, a także na obwiązkę butersznytów -tam wznosił się podwójny rząd świec i ogarków, ruiny stearynowego Partenonu. Pod ścianą naprzeciwko pieca piętrzyły się natomiast równe stosy woluminów w twardej obwolucie, poukładanych według formatu i grubości, i według częstości lektury. Wiszący nad nimi na okopconej ścianie ryngraf z Matką Boską Ostrobramską – jedyna pozostałość po poprzednich lokatorach, których Biernatowa wyrzuciła na bruk z powodu ‘nieprzystojnego prowadzenia’ – do reszty szerniał i teraz wyglądał raczej jak element średniowiecznej zbroji dla liliputów. Iwan przypatrywał mu się długo, w natężeniu wielkiem, sztywno usadzon na stołku, z lewą ręką z papirosem odsuniętą w bok pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ciała, prawą ułożoną na udzie obok melonika, marszcząc brwi i nos, strosząc wąsa – wtedym zrozumiał, że on jest prawie ślepy, że to kancelaryjny krótkowidz, na nosie i pod oczodołami miał ślady po binoklach, bez binokli pozostało mu zdać się na Kiryła. Weszli prosto z mrozu i Iwan musiał być zdjąć okulary. Mnie samemu czasami łzawią tu oczy. Powietrze we wnętrzu kamienicy jest gęste, ciężkie, natarte wszystkimi woniami ludzkich i zwierzęcych organizmów, okien nie otwiera nikt, drzwi zaraz się zatrząskuje i zatyka szmatami szczeliny nad progami, iżby nie uciekło ciepło z budynku -za opał trzeba przecie płacić, a kto by miał dosyć pieniędzy na węgiel, w ogóle nie gnieździłby się w takich ciemnych oficynach, gdzie powietrze jest gęste, ciężkie, oddychasz nim, jakbyś pił wodę wyplutą przez sąsiada i psa jego, każdy twój oddech milion razy wcześniej przeszedł przez gruźlicze płuca chłopów, Żydów, wozaków,

rzeźników i dziwek, wykrztuszony z czarnych krtani powraca do ciebie znowu i znowu, przesączony przez ich ślinę i śluz, przepuszczony przez zagrzybione, zawzione i zaropiałe ciała, oni wykaszleli, wysmarkali, wyrzygali go tobie prosto w usta, musisz połknąć, musisz oddychać, oddychaj!

– Prze-przepraszam.

Wychodek na końcu korytarza szczęściem nie był akurat zajęty. Wymiotowałem w dziurę, z której wionęło mi w twarz smrodem lodowatym. Spod obsranej deski wyłaziły prusaki. Rozgniatałem je kciukiem, gdy podchodziły mi pod brodę.

Wyszedszy z powrotem na korytarz, zobaczyłem Kiryła stojącego w progu pokoju – miał na mnie oko, trzymał straż, czy nie ucieknę im na mróz w kalesonach i swetrze. Uśmiechnąłem się porozumiewawczo. Podał mi chusteczkę i wskazał na policzek lewy. Wytarłem. Gdy chciałem mu ją oddać, odsunął się krok. Uśmiechnąłem się po raz drugi. Mam szerokie usta, bardzo łatwo się uśmiechają.

Wdziałem jedyny mój strój wyjściowy, czyli czarny garnitur, w którym zdawałem egzaminy ostatnie; gdyby nie warstwy bielizny pod spodem, zwisałyby teraz na mnie jak na szkielecie. Urzędnicy patrzyli, gdy sznurowałem buty, gdy zapinałem kamizelkę, gdy walczyłem ze sztywnym kołnierzykiem celuloidowym do ostatniej bawełnianej koszuli przypiętym. Zabrałem dokumenta i resztkę gotówki, trzy ruble i czterdzieści dwie kopiejki – łapówka z tego będzie ledwo symboliczna, ale z pustymi kieszeniami w urzędzie człowiek czuje się nagim. Na stary kozuch barani nic natomiast nie mogłem poradzić, łaty, plamy, krzywe szwy, innego nie miałem. Przyglądali się w milczeniu, jak wciskam ramiona w niesymetryczne rękawy, lewy dłuższy. Uśmiechnąłem się przepraszająco. Kirył poślinił ołówek i skrupulatnie zanotał coś na mankiecie.

Wyszliśmy. Biernatowa widać podglądała przez uchylone drzwi – natychmiast pojawiła się przy czynownikach, zarumieniona i roztrajkotana, by poprowadzić ich z powrotem schodami z drugiego piętra i przez oba podwórka-studnie do bramy głównej, gdzie stróż Walenty, poprawiwszy czapkę z mosiężną blaszką i schowawszy fajkę do kieszeni, zamiótł pośpiesznie śnieg z chodnika i pomógł czynownikom wsiąść do sani, ujmując panów pod łokcie, aby nie poślizgnęli się na trotuarze zalodzonym, Biernatowa zaś już siedzących, gdy obwijali sobie nogi pledami, zasypała potokami skarg na lokatorów złośliwych, na bandy powiślańskich złodzieji, co włamują się do domów nawet za dnia, oraz na mrozy okrutne, przez które okna zewnątrz nawilgotniałe się paczą, a rury pękają w ścianach, i żadna hydraulika ni kanalizacja nie przetrzyma długo w ziemi; na koniec zapewniła gorąco, że dawno podejrzewała mnie o rozmaite występki i bezceństwa, i niechybnie doniosłaby stosownej własti, gdyby nie tysiąc i jeden innych frasunków na jej głowie spiętrzonych – aż woźnica ze swego kozła za plecami Kiryła strzelił batem i konie szarpnęły sanie w lewo, zmuszając kobietę do odstąpienia, i tak ruszyliśmy w drogę do warszawskiej delegatury Ministerjum Zimy, do dawnego Pałacu Biskupów Krakowskich, Miodowa 5, róg Senatorskiej.

ICE

Jacek Dukaj

Translated from the Polish by Stanley Bill – Chapter 1

On the fourteenth day of July 1924, when the chinovniks from the Ministry of Winter came for me, in the evening of that day, on the eve of the Sibiriade, only then did I begin to suspect that I did not exist.

Under an eiderdown, under three blankets and an old gabardine overcoat, in fustian long johns and a worsted pullover, in socks pulled up over socks – only my feet protruded from under the eiderdown and the blankets – finally thawed out after more than a dozen hours of sleep, curled up almost into a ball, with my head squeezed under a pillow in a thick pillowslip, so that the sounds reached me already soft, warmed, immersed in wax, like ants mired in resin, pushing their way through, slowly and with great toil, through my slumber and through the pillow, millimetre by millimetre, word by word:

‘Gospodin Venedikt Yeroslavsky.’

‘Him.’

‘Asleep?’

‘Asleep, Ivan Ivanovich.’

A voice and another voice, the first deep and husky, the second deep and melodious. Even before I had lifted the blanket and a single eyelid, I could already see them as they leant over me, the husky one by my head, the melodious one by my feet, my tsarist angels.

‘We have woken Master Venedikt,’ declared Ivan once I had raised the other eyelid. He nodded at Bernatova; the

landlady obediently left the chamber.

Ivan drew up a tabouret for himself and sat down; he held his knees together, and on his knees a narrow-brimmed black bowler hat. A vatermörder collar, white as snow in the noon-tide sun, dazzled my eyes, a white vatermörder and white office cuffs, blinding against the simple black background of their vestiture. I blinked.

‘Pray, permit us to be seated, Venedikt Filipovich.’

They permitted themselves. The second one perched on the foot of the bed, his weight pulling down on the eiderdown until I had to relinquish it; after taking hold of the blankets, I raised myself on the pallet and in doing so uncovered my back, the cold air rushed in under my pullover and long johns, I shivered, awake.

I flung an overcoat over my shoulders and pulled my knees up under my chin.

They looked down at me with amusement.

‘How’s your health?’

I cleared my throat. The night-time phlegm pooled in my gullet, a caustic acid consisting of all the contents of my stomach, from garlic sausage, gherkins, and whatever else we had ingested the day before, from warm dogwood liqueur and cigarettes, lots of cigarettes. I leaned towards the wall and spat into the crachoir until I was bent over double. And thus bent over I coughed violently for a lengthy moment.

I wiped my mouth on the torn sleeve of my overcoat.

‘Healthy as a horse.’

‘Very good, very good. We were afraid that you wouldn’t get out of bed.’

I got up. My pocket book was lying on the window sill,

squeezed behind a flower pot with a dead geranium in it. I took out my bumaga and shoved it under Ivan's nose.

He didn't even look at it.

'My dear Master Yeroslavsky! Do you take us for beat constables?' He held himself up even straighter upon the stool. I had thought it was impossible, but he held himself up even straighter, and now the walls seemed crooked, the cabinet like a hunchback, and the door frame scoliotic. Offended, the chinovnik raised his chin and puffed out his chest. 'Sir is very kindly invited to Miodowa Street for tea and sweets. The superintendent always keeps himself supplied with sorbets, cupcakes, and cream cakes, straight from Semadeny, real debauchery for the palate, if I may say so – may I not, Kiril?'

'Indeed you may, Ivan Ivanovich, by all means,' sang out Kiril.

Ivan Ivanovich had bushy moustaches, heavily pomaded and curled up at the tips; Kiril, on the other hand, was ever so smoothly clean-shaven. Ivan took out a ticker on a tangled chain from the pocket of his waist-coat, announced that it was five to five, that Superintendent Preiss esteemed punctuality very highly, and asked what time he was going out for supper. They had made arrangements with the Major-General at the Hôtel Français.

Kiril offered Ivan some snuff, Ivan offered Kiril a cigarette, they both scrutinised me as I got dressed. I splashed some icy water into the basin. The stove tiles were cold. I turned up the wick in the lamp. The room's only window opened out onto a cramped courtyard, but the panes were so thickly covered with grime and hoarfrost that even at noontide only a little sunlight seeped through them. When I was shaving – when I was still shaving – I had had to set

the lamp in front of the looking glass, turned up to its full flame. Zyga had parted with his razor immediately after his arrival in Warsaw; he had cultivated a beard worthy of an Orthodox priest. I peered over at his pallet on the other side of the stove. On Mondays he had lectures, he must have risen at dawn. On Zygmunt's bed lay the black fur-lined shubas of the chinovniks, along with their gloves, a cane, and a muffler. The table was stacked high with dirty dishes, flasks (empty), books, magazines, and copybooks; Zyga was drying out his socks and undergarments, which were hanging over the rim of the table-top, held in place by anatomical atlases and Latin dictionaries. And in the middle of the table, on top of a well-thumbed, greasy edition of Riemann's *Über die Hypothesen welche der Geometrie zu Grunde liegen*, and on a pile of yellowed 'Warsaw Couriers' kept for kindling, for patching up cracks expanded by the frost, and for thawing out shoes, as well as for wrapping butterschnitts, a double row of candles and candle-stubs rose up like the ruins of a stearic Parthenon. By the wall opposite the stove hardbound tomes were piled up in even stacks arranged according to size and girth, and according to how frequently they were read. Hanging over them on the soot-covered wall was a gorget with Our Lady of Ostrobrama upon it – the only trace of the previous tenants, whom Bernatova had turned out onto the street for 'indecent conduct' – which was entirely blackened and now looked more like a piece of medieval armour for Lilliputians. Ivan peered at it for a long time, with great intensity, stiffly planted upon the stool, his left hand with the cigarette cocked aside at an angle of forty-five degrees to his body and his right hand placed upon his thigh beside the bowler hat, wrinkling up his nose and brow, bristling his moustaches. It was then that I realized that he was almost blind, an office myope, that he

bore the marks of a pince-nez on his nose and under his eye sockets, and that without his pince-nez he was forced to rely upon Kiril. They had come straight in from the frost and Ivan must have had to remove his spectacles. I myself sometimes find my eyes watering in here. The air inside the apartment house is thick, heavy, and laden with all the odours of human and animal bodies; nobody opens the windows, the doors are opened and slammed shut forthwith and the crevices under the doorstep are stopped up with rags lest the warmth escape from the building – after all, payment must be tendered for fuel and anyone with enough money for coal would by no means coop himself up in a dark annexe like this one, where the air is thick and heavy, and you breathe it as if you were drinking water spat out by your neighbour and his dog, each breath of yours having passed a million times through the consumptive lungs of peasants, Jews, carters, butchers, and whores; coughed up from blackened larynxes it comes back to you again and again, percolated through their spittle and slime, filtered through fungus-infected, lice-ridden, and festering bodies; they have coughed it up, blown it out their noses, and spewed it out straight into your mouth, and you have to gulp it down, you have to breathe, breathe!

‘Ex-Excuse me.’

Fortunately the privy at the end of the corridor was not occupied at that moment. I vomited into the hole, from which an icy stench wafted up into my face. Cockroaches skittered out from under the shit-smearred board. I squashed them with my thumb when they came up under my chin.

After coming back into the corridor I saw Kiril standing on the threshold – he was keeping an eye on me, he was on his guard, in case I might flee from them out into the frost in my long johns and pullover. I smiled knowingly. He offered

me his handkerchief and pointed to my left cheek. I wiped. When I wished to return it he moved back a step. I smiled for a second time. I have a broad mouth, it smiles very easily.

I donned my only outdoor attire, the black suit in which I had taken my final exams; if it weren't for the layer of undergarments underneath it would hang off me as if from a skeleton. The functionaries watched as I laced up my shoes, as I buttoned up my waistcoat, as I struggled with the stiff celluloid collar tacked on to my last cotton shirt. I took up my documents and the rest of my ready money, three rubles and forty-two kopeks – as a bribe it would barely even be symbolic, but with empty pockets a man feels naked in an office. But there was nothing to be done about my old sheepskin – patches, stains, crooked seams – I had no other. They watched in silence as I squeezed my arms into its unsymmetrical sleeves, the left one longer than the right. I smiled apologetically. Kiril licked his pencil and meticulously noted something down on his cuff.

We went out. Bernatova must have been peeping through the half-open door – she immediately appeared alongside the chinovniks, flushed in the face and jabbering away, to escort them back down the stairs from the second floor and through both the courtyard-wells to the main entrance, where the door-keeper Walenty, after straightening his brass-badged cap and putting his pipe into his pocket, hurriedly swept the snow off the sidewalk and helped the chinovniks to get into the sleigh, gripping the two gentlemen under the elbows lest they slip on the iced-up trottoir, while Bernatova, once they were already seated and wrapping their legs in rugs, showered them with streams of complaints against malicious tenants, against bands of thieves from Powiśle who broke into homes in broad daylight, as well as against the cruel frosts, owing to

which the damp windows warped from the inside, and the pipes burst in the walls, and neither plumbing nor sewerage pipes lasted long in the ground; finally, she fervently assured them that she had long suspected me of various misdemeanours and iniquities, and that she most assuredly would have informed the appropriate *vlast* if not for the thousand and one other cares piled up on her mind – until the sleigh-driver cracked his whip from his seat behind Kiril's back and the horses jerked the sleigh off to the left, forcing the woman to step aside, and so we set off down the road to the Warsaw department of the Ministry of Winter, to the former Palace of the Cracovian Bishops, 5 Miodowa Street, on the corner of Senatorska.



EUROPEAN UNION
PRIZE FOR LITERATURE

2009

Jacek Dukaj – Poland

LÓD

ICE

1054 pp, 2007

Rights sold to (*Last Update – September 2011*):

Hungary: Galaktika

Macedonia: Begemot Dool

Publishing House **Wydawnictwo Literackie**

al. Krakowska 53 a – 05-552 Wólka Kosowska – Warszawa – Poland

Tel. +48 (12) 6192762 – Fax. +48 (12) 4225423 – www.wydawnictwoliterackie.pl

Contact: j.dabrowska@wydawnictwoliterackie.pl

ISBN: 978-83-08-03985-4

EUPL / FEP-FEE – Rue Montoyer, 31 – B-1000 Brussels – T. +32 (0)2 770.11.10

info@fep-fee.eu – www.euprizeliterature.eu



Education and Culture DG

Culture Programme



European
booksellers
federation



FEDERATION OF EUROPEAN PUBLISHERS
FÉDÉRATION DES ÉDITEURS EUROPÉENS